ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 16. Sierpnia 1902 r.

ALEKSANDER DUMAS.

TYSIĄC I JEDEN WIDZIADEŁ.

III.

Pośmiertny pocałunek.

(C. d.)

Nazajutrz stawiłem się w oznaczonej godzinie, a wkrótce przybyła i Blanka. Miałem dla niej dobre wiadomości. Udało mi się pozyskać dla jej ojca opiekę generała Marceau, jednego z najzacniejszych patrjotów i najszczerszych republikanów, który patrzył ze wstrętem na krwawe rządy Jakobinów. Przyrzekł on przewieźć ojca Blanki do Wandei, pod osłoną armji, stamtąd zaś łatwo mu już będzie dostać się do Anglji. W zamian żądał Marceau, by mu ojciec mojej protegowanej złożył przysięgę, że nie będzie walczył przeciw Francji. Usłyszawszy to wszystko Blanka, wsunęła mi rękę pod ramię — i pospieszyliśmy razem do jej ojca, aby mu przedłożyć plan ucieczki. Przeszedłszy rozmaite uliczki i zakręty, doszliśmy wkońcu do kamienicy, gdzie na czwartem piętrze ukrywał się ojciec Blanki w przebraniu robotnika. Podobnie jak córka, mimo gminnej odzieży zdradzał postacią i mową arystokratyczne swoje pochodzenie. Podziękowawszy mi wykwintnemi słowy, zapytał kiedy ma się udać do generała Marceau; odrzekłem, że sprawa ta nie cierpi zwłoki, bo generał wychodzi nazajutrz z wojskiem. Ojciec Blanki miał mu towarzyszyć w charakterze sekretarza. Wyruszyliśmy też natychmiast wszyscy troje. Generał i jego siostra przyjęli nieszczęśliwych zbiegów z całem współczuciem należnem ich położeniu. Blanka miała jeszcze spędzić z ojcem tę noc ostatnią. Żegnając, podała mi czoło do pocałunku, i rzekła wzruszonym głosem:

— Jeśli dzięk
czynienia, wdzięcznej za ocalenie ojca, córki mają dla ciebie jakąś wartość — przyjdź po nie Albercie jutro na ulicę Ferou.

Odtąd widywaliśmy się codziennie, Blanka otrzymała od ojca list z Londynu, był więc już zupełnie bezpieczny. W parę tygodni później wystarałem się i dla niej o paszport na przejazd za granicę i przyniosłem go jej z rozdartem sercem, bo jak się łatwo domyślić, kochałem ją już bez pamięci. Gdym podawał jej zdobyty dokument, Blanka wybuchnął płaczem.

Nie chciała jechać, nie chciała rozstawać się zemną. Ja również nie miałem siły nalegać na ten wyjazd, mimo, że czarne przeczucia przelatywały mi przez głowę, i tak narzeczona moja (bo za taką uważałem Blankę, mimo żem nie znał jej nazwiska i nigdym go poznać nie miał) została w Paryżu na swoje i moje nieszczęście.

Tu pan Ledru zamilkł na chwilę. Mrok zaczynał już zapadać, i szary półcień obejmował zwolna wszystkie zakątki sali jadalnej — twarz opowiadającego odwrócona była od światła, nie mogliśmy więc dostrzedz jej wyrazu; czuć jednak było w urywanych zdaniach i krótkich westchnieniach, przerywających mowę pana Ledru, jak ciężko mu było zbierać owe wspomnienia, dawno już minionej przeszłości.

Odtąd Blanka i ja żyliśmy wyłącznie dla siebie. Kochaliśmy się wszystkiemi władzami dusz naszych, ufając sobie bezwzględnie i nigdy się wzajemnie o nic nie badając. Nigdy mnie ani jej nie przyszło na myśl zapytywać o nazwiska nasze prawdziwe; byliśmy dla siebie Albertem i Blanką, a oddani miłości naszej, zapominaliśmy o wszystkiem co nas otaczało.

Tymczasem krwawe rządy rewolucyjne srożyły się z coraz dzikszą zaciekłością; podpisywano nieustannie wyroki śmierci, gilotynowano 30 do 40-tu osób dziennie, takie potoki krwi płynęły z ciał pomordowanych ofiar, że na ściekanie jej wykopano rów głęboki naokoło rusztowania. Rów ten przykryto [illegible] wierzchu deskami, i zdarzyło się, że bawiące [illegible] nich dziecko, wpadło do środka i utopiło się w ohydnej posoce.

W końcu przystąpiono do procesu królowej. 16-go października; wydano na nią wyrok śmierci, a wykonano go tegoż dnia o godz. 11 przed południem. Otrzymałem rozpaczliwy list od Blanki; błagała mnie, abym ją dziś jeszcze odwiedził i dopomógł jej do zniesienia tych ciężkich



Sceny z wychodźtwa naszego do Ameryki (obj. patrz w „nasze ryciny").

chwil boleści. Udałem się więc do mieszkania jej przy ulicy Taranne, i znalazłem całą we łzach i tak zastraszoną, żem jej długo uspokoić nie mógł. To samo zresztą uczucie owładnęło dnia tego wszystkich mieszkańców Paryża, nie smutek już ani przestrach, ale wrażenie niemej grozy malowało się na wszystkich twarzach. Ja również czułem się dziwnie zniechęcony i bezsilny. Próbowałem utulić Blankę, płaczącą w moich ramionach, ale nie umiałem znaleść dla niej słów pociechy i pokrzepienia. Spędziliśmy z sobą dzień cały i noc następną, siedząc przytuleni, i drżąc za najmniejszym szelestem. Pamiętam, że w nocy dochodziły nas z pod podłogi żałosne wycia zamkniętego pieska; nazajutrz dowiedzieliśmy się, że właściciel jego aresztowany został wczoraj na ulicy, że go osądzono o godzinie 3-ciej po południu, a o 4-tej wykonano na nim wyrok śmierci. Widocznie biedne zwierzę wyczuło zgon pana, jak się to nieraz psom zdarza. Zrana musieliśmy się rozłączyć, Blanka bowiem pełniła obowiązki nauczycielki w jednej z rządowych szkół, gdziem ją sam umieścił, dla uchylenia od niej podejrzeń.

Sprowadziłem dorożkę i wsiedliśmy do niej oboje — odwieźć ją chciałem przynajmniej do rogu ulicy, przy której znajdowała się szkoła. Przez całą drogę trzymaliśmy się w uścisku, mieszając łzy nasze, przeplatane pocałunkami. Na rogu ulicy wyskoczyłem z fjakra, powóz ruszył, ja zaś stałem przygwożdżony do miejsca. Za chwilę Blanka wychyliła się przez drzwiczki — ujrzawszy to, pobiegłem znów do niej, wskoczyłem szybko do powozu, a zapuściwszy okna z obu stron, przycisnąłem raz jeszcze do serca moją ukochaną, aż zamknąwszy jej usta trzykrotnym pocałunkiem, wyrwałem się całym wysiłkiem woli z drogich objęć i biegnąc prawie, dopadłem mego mieszkania.

Tam w uczuciu rozpaczliwego niepokoju pisałem przez cały dzień list do Blanki, i posłałem go jej pod wieczór. Był to już przyjęty między nami zwyczaj, że jeśli nie mogliśmy się widywać, wymienialiśmy listowne wynurzenia.

Nazajutrz otrzymałem list od Blanki, w którym pisała mi między innemi, że przełożona szkoły gniewna była na nią za opuszczenie dnia całego lekcji, przytem wspomniała jeszcze, że otrzymała od ojca list rozpieczętowany, obawia się zatem, czy nie wpadł był poprzednio w ręce policji rewolucyjnej. Okoliczność ta przestraszyła mnie mocno; że jednak dnia tego i tak nie mógłbym się widzieć z Blanką, udałem się więc dla zabicia czasu na cmentarz Clamart, gdziem zwykł był odbywać doświadczenia nad ściętemi głowami. Jesienny deszcz, zwiastun nadchodzącej zimy, padał tego dnia z głuchym szelestem, niebo zasnute ołowianemi chmurami, powlekało wszystko posępną barwą.

Po ulicach snuli się posługacze, obwołujący, ochrypłemi głosami listę osób na śmierć skazanych; były tam nazwiska mężczyzn, kobiet i dzieci, nieszczęsnych ofiar krwawego żniwa rewolucji. Gdym przybył na miejsce było już prawie ciemno, mimo wczesnej stosunkowo godziny, a cmentarz wyglądał dziwnie niepokojąco przy tym zapadającym mroku. Bezlistne drzewa chwiały się z przykrym łoskotem, niby dzwoniące kośćmi szkielety — wiatr huczał przeciągle, a wkoło

sterczały świeżo usypane mogiły, i otwierał się głęboki rów, wykopany na dzisiejsze ofiary. Stanąłem nad brzegiem tego dołu, co miał wkrótce zostać ostatnim przytułkiem tylu biednych, wystygłych, obnażonych ciał ludzkich, i myślałem z mimowolnym dreszczem, jak zimno im tu będzie w tej ziemi rozmokłej od jesiennego deszczu — w tej chwili noga mi się pośliznęła, i omal nie wpadłem do rowu — cofnąłem się ze zgrozą, i poszedłem zwolna do mojej pracowni. Urządzono mi ją w dawnej kaplicy, skąd obyczajem rewolucyjnym usunięto ołtarz, obrazy i wszelkie świętości. Patrzyłem ze smutkiem na obnażone ściany, oczekując na grobowy transport, który zwykle przywożono o tej porze. Zapaliłem świece, której płomień drżał i migotał od wpadającego przez szczeliny wiatru. Deszcz padał z coraz większą zaciekłością, tłukąc w okna i ściany. Łamane wichrem drzewa zdawały się skarżyć i jęczeć żałośnie, aż wśród tych zmieszanych odgłosów odróżniłem wreszcie głuchy turkot wózka, na którym przywożono tu zwykle ciała zamordowanych. Za chwilę w progu kaplicy ukazali się katowscy pachołcy, a jeden z nich rzekł do mnie, składając w kącie worek napełniony ściętemi głowami.

— Masz tu pan, panie Ledru, czego żądałeś; nie zabraknie ci roboty, a przytem nie potrzebujesz się pan spieszyć, bo dziś już za późno na wyprawienie pogrzebu tym oto przywiezionym obywatelom; i tak nie dostaną kataru, choćby noc spędzili pod gołem niebem. Słowom tym towarzyszył grubjański śmiech tych, znieczulonych ohydnem rzemiosłem, ludzi. Złożywszy na ziemi worek, wyszli na cmentarz i zajęli się wyładowaniem pozbawionych głowy tułowiów. Po chwili ukończywszy tę czynność, oddalili się się po za cmentarz, ja zaś słuchając niknącego odgłosu ich kroków, uczułem gwałtowną chęć dogonienia ich i oddalenia się wraz z nimi, byleby nie zostać tutaj sam na sam z umarłymi. Nie pierwszy to przecie raz znajdowałem się w tem miejscu i w takiej chwili, a jednak nigdy jeszcze nie doznawałem takiego uczucia przejmującej trwogi. Migotliwy płomyk świecy rzucał niepewne światło na środek zaledwo kaplicy, zostawiając kąty jej i zagłębienia w tajemniczym i nieprzebytym mroku; żałosne wycie wiatru i plusk deszczu zdawały się potęgować z każdą chwilą, zlewając się w uszach moich w jednobrzmiący a straszny odgłos, z którego źródła przestałem sobie zdawać sprawę, aż naraz usłyszałem cichy i żałosny głos, wołający na mnie „Albercie“. Włosy podniosły mi się na głowie, a zimny pot wystąpił na czoło. Wszak jedna tylko w świecie istota nazywała mnie tem imieniem. Powiodłem obłąkanym wzrokiem po ścianach kaplicy, a gdym spoczął wejrzeniem na złożonym w kącie worku, usłyszałem po raz drugi, wyraźniejsze jeszcze i bardziej żałosne wołanie „Albercie“. Wówczas ogarniające mnie przerażenie doszło do takiego stopnia napięcia, przy którem sam nadmiar strachu staje się źródłem nadmiernej odwagi. Postąpiłem sztywnie do stojącego w kącie worka, i pogrążyłem w nim rękę. Wówczas uczułem najwyraźniej pocałunek wilgotnych i ciepłych warg, które przycisnęły się do mojej dłoni. Oszalały prawie i nieprzytomny, wziąłem w ręce głowę tę i poniosłem ją do stołu, na którym zwykle robiłem doświadczenia. Migotliwy płomyk świecy oświecił twarz... B l a n k i. Patrzyłem na nią przez chwilę, a potem zawołałem trzykrotnie: Blanko! Blanko! Blanko! Wówczas oczy jej rozwarły się i spojrzały na mnie boleśnie, a dwie łzy stoczyły się po jej policzkach. W tejże chwili z oczu tych strzelił jakby płomyk wilgotny, niby obraz odlatującej duszy, poczem powieki opuściły się ciężko, aby się już więcej nie podnieść. Zerwałem się oszalały, wściekły, i chciałem biedz gdzieś daleko stąd, uciekać, ale zawadziłem nogą o stół i upadłem ciężko na ziemię. Stół runął na mnie, świeca zgasła, a martwa głowa Blanki potoczyła się z łoskotem po kamiennej posadzce. Wtedy uczułem wyraźnie zimny pocałunek na moich ustach — śmiertelny dreszcz wstrząsnął całą moją istotą, i utraciłem przytomność. Nazajutrz grabarze znaleźli mnie leżącego bez czucia, przewieziono mnie do szpitala, gdziem przebył ciężką chorobę. Powstawszy z niej, dopiero dowiedziałem się szczegółów śmierci Blanki. — Tego właśnie dnia, gdym udawał się na cmentarz Clamart, aresztowano ją na podstawie przejętego listu, osądzono i natychmiast zgilotynowano. Jej to głowa wołała na mnie z ostatniem pożegnaniem, jej usta złożyły na moich pośmiertny pocałunek.

T. M. DOSTOJEWSKI.

BIAŁE NOCE.

Teodor Dostojewski urodził się w Moskwie w r. 1821. W Petersburgu skończył wojskową szkołę inżynierów, nie poświęcił się jednak zawodowi inżynierskiemu. Pociąg do literatury, który się w nim narodził jeszcze w dzieciństwie, przeważył. W roku 1846 drukuje pierwszą swoją powieść: ,,Biedni ludzie“, która mu odrazu daje sławę znakomitego pisarza. Jako uczestnik rewolucyjnego ruchu dostaje się Dostojewski w r. 1849 pod sąd, poczem wyrok sądowy wysyła go na 4 lata do katorgi na Sybir. Z tych czasów i wrażeń powstaje znakomita praca Dostojewskiego: ,,Martwy dom“. ,,Martwy dom“, jako: ,,Wspomnienia z katorgi“ przetłomaczył na język polski prof. Tretiak.

Po powrocie z Syberji oddaje się Dostojewski gorączkowej pracy publicystycznej i literackiej, wydaje dzienniki, pisze artykuły, nowele, pow[illegible]. Z tych czasów datuje [illegible] pierwsza większa jego pow[illegible] i kara“, dziś prze[illegible] na wszystkie języki. W [illegible] od r. 1867 do 1871 przebywa Dostojewski za granicą. W tym czasie i po powrocie do Rosji wydaje genjalne swe powieści: ,,Idjota“, ,,Biesy“, ,,Bracia Karamazowy“.

W dniu 28 stycznia 1881 roku umarł.

Za życia Dostojewskiego oceniono go w Rosji przedewszystkiem, jako publicystę, jako jednego z filarów partji; dziś kiedy to, co w jego działalności było aktualne, przeszło, zarówno Rosja, jak i cała artystyczna Europa, widzi w Dostojewskim jednego z największych artystów XIX stulecia.



Sceny z wychodźtwa naszego do Ameryki (obj. patrz w „nasze ryciny“).



Sceny z wychodźtwa naszego do Ameryki (obj. patrz. w „nasze ryciny“).

Noc pierwsza.

Była cudowna noc, noc, jaka może być tylko wtedy, kiedyś jeszcze młody, kochany czytelniku. Niebo było takie gwiaździste, takie jasne niebo, że spojrzawszy na niego mimowoli trzeba było pomyśleć: czyż naprawdę pod takiem niebem mogą żyć rozmaici źli ludzie? Pytanie to także młode, kochany czytelniku, bardzo młode, zasyłaj go nam jednak częściej do duszy, o Boże!... Mówiąc o rozmaitych złych ludziach, nie mogę nie wspomnieć o swojem grzecznem sprawowaniu w ten dzień. Od samego rana zaczął mnie męczyć jakiś dziwny smutek. Wydało mi się naraz, że wszyscy porzucają mnie, samotnika, że wszyscy się odsuwają. Naturalnie podsuwa się pytanie: któż to są ci wszyscy? Bo osiem już lat prawie mieszkam w Petersburgu, a nie umiałem się zaznajomić ani z jedną osobą. Ale po co mi znajomości? Bez tego znam cały Petersburg i oto dlatego wydało mi się, że mnie wszyscy porzucają, gdy wszyscy się ruszyli i wyjeżdżają na letnie mieszkania. Strasznie mi było pozostawać samemu, więc przez całe trzy dni wałęsałem się po mieście głęboko smutny, najzupełniej nie pojmujący, co się ze mną dzieje. Czy pójdę na Prospekt, czy pójdę do Ogrodu, czy łażę nad rzeką — ani jednej z tych twarzy, do których o tej godzinie, na tem miejscu, przyzwyczaiłem się przez cały rok. Oni, oczywiście, nie znają mnie, ale ja ich znam, dokładnie znam, pamiętam wyrazy twarzy, cieszę się gdy idą weseli, smucę — gdy zamyśleni. Omal że się nie zaprzyjaźniłem z pewnym staruszkiem; spotykam go każdego dnia o jednej i tej samej godzinie na Fontance. Fizjognomja taka poważna, zamyślona; ciągle coś szepce pod nosem i macha lewą ręką; w prawej długa sękata laska ze złotą gałką. Staruszek dostrzegał mnie również i interesuje się mną życzliwie. Niech się zdarzy, że mnie nie będzie o swojej godzinie na Fontance: jestem pewny, że najdzie nań melancholja. Z domami nawet się znam. Gdy idę chodnikiem, każdy z nich, zda się, wybiega przedemnie na ulicę, patrzy wszystkiemi oknami i prawie, że mówi: „jak się masz? jak zdrowie pańskie? Ja się mam dobrze, w maju dodają mi jedno piętro, albo: „jak się pan miewa? ja od jutra zaczynam reparację“, albo: „o mało co się wczoraj nie spaliłem“.

Więc, oto, drogi czytelniku, tym sposobem znam się z całym Petersburgiem.

Powiedziałem już, że całe trzy dni męczył mnie niepokój, zanim domyśliłem się powodu. I na ulicy źle (tego niema, tamtego niema, gdzie się ów podział?) — i w domu byłem nie swój. Przez dwa wieczory starałem się dojść, czego mi brak w mym kącie? Jakby osłupiały, oglądałem swoje zielone, zakopcone ściany, sufit obrośnięty pajęczyną, którą moja Matrena hoduje z powodzeniem nadzwyczajnem. Wpadłem nawet na pomysł zawołania Matreny i zrobienia jej ojcowskiej wymówki za pajęczynę i wogóle za niechlujstwo; ale Matrena popatrzyła tylko na mnie i poszła z powrotem, tak, że pajęczyna wisi do dziś dnia szczęśliwie. I dopiero dzisiaj rano domyśliłem się, w czem rzecz. E! Ależ oni wymykają mi się z miasta na wieś! Wszakże wszystko, co tylko było w Petersburgu, pouciekało na letnie mieszkanie, albo ucieka; wszak każdy szanowny jegomość o solidnym wyrazie twarzy, który tylko bierze dorożkarza, przemienia się w moich oczach w poważnego ojca rodziny, spieszącego po załatwieniu spraw na łono familijne na wieś, wszak każdy przechodzień ma teraz jakiś specjalny wyraz twarzy, jakby oznajmiający: „ja tu, proszę pana, tylko do czasu, bo za dwie godziny jedziemy na wieś“. Niech tylko otworzy się okienko w kamienicy i z za okienka wysunie naprzód rączka z białemi jak cukier paluszkami, a potem główka ślicznej dzieweczki, wołającej przekupnia z kwiatami — oho! już w tej chwili układa mi się w wyobraźni historja, że kwiaty kupuje się „tak tylko“, nie po to, by się niemi nasycać w dusznem miejskiem mieszkaniu, a właściwie za kilka dni wyjedzie się na wieś wraz z kwiatami.

Doszedłem nawet do takich postępów w obserwacji, że mogłem bez omyłki z samego wyglądu określić, dokąd kto jedzie. I czym widział długą procesję ciężarowych fur, wyładowanych górami stołów, stołków, sof tureckich i nietureckich, i innych skarbów domowych z zażywną kucharką na wierzchołku, czym patrzył na brzemienne domowem urządzenie łódki, które po Newie lub Fontance płynęły do Czarnej Rzeki lub do Wysep:

wozy i łódki krociły się w mojej wyobraźni, zdawało mi się: wszystko powstało i ruszyło hen, karawanami wyjechało na wieś, Petersburg zostanie na miejscu, by pustynia. Aż wreszcie zrobiło mi się smutno i wstyd mi było zostawać — a z drugiej strony stanowczo nie miałem gdzie jechać, ani potrzeby. Gotowem był odjechać z każdym wozem, z każdą osobą o solidnym wyglądzie.

Chodziłem długo, tak, długo że wreszcie, zgodnie z swoim zwyczajem, zapomniałem gdzie jestem. Naraz znalazłem się u rogatki. W tej chwili zrobiło mi się wesoło, przeszedłem szlaban i poszedłem wśród zasianych pól, łąk; nie czułem zmęczenia, czułem całą swoją treścią jak z duszy spada jakiś ciężar. Przejeżdżający patrzyli na mnie tak uprzejmie, że omal, iż mi się kłaniali! wszyscy byli tak czegoś zadowoleni, wszyscy bez wyjątku palili cygara. I ja byłem tak szczęśliwy, jak nigdy. Jak gdyby naraz przeniesiono mnie do Włoch — tak silnie uderzyła natura we mnie, na pół chorego mieszczucha, duszącego się wśród murów.

Jest coś wzruszającego w naszej petersburskiej naturze, gdy z przyjściem wiosny, naraz wykaże całą moc swoją, wszystkie darowane jej od nieba siły, wystroi się, umai kwiatami... Mimowoli przypomina mi dziewczynę zazwyczaj zbiedzoną, chorowitą, na którą człowiek patrzy z litościwą miłością, albo której wcale nie zauważa, a która naraz w jedno okamgnienie, przypadkiem rzekłbyś, robi się prześliczną, tak że człowiek porażony, upojony pyta: jaka siła wlała ogień i blask w te smutne, zadumane oczy, napędziła krew do tych bladych, wychudłych policzków? Skąd to falowanie piersi? Co zrodziło tak niespodziannie siłę życia na jej twarzy? Co rozjasniło usta takim uśmiechem? Skąd ten skrzący się uśmiech? Patrzysz się dokoła i jakby szukasz czegoś.. Ale okagmnienie przechodzi i być może, jutro spotka się ją znowu zadumaną i roztargnioną, z twarzyczką bladą, z tą samą pokorą i lękiem w ruchach, nawet z jakąś skruchą, śladami jakiejś martwiejącej tęsknoty...

A jednak piękniejsza była noc moja, nad dzień. A było to tak:

Gdym wracał do miasta, była już godzina dziesiąta. Szedłem wzdłuż wybrzeża, gdzie o tej godzinie nie spotyka się żywej duszy. Mieszkam co prawda w najdalszych kątach miasta. Szedłem śpiewając, bo zawsze, gdym szczęśliwy, muszę coś nucić pod nosem, jak to czyni każdy człowiek szczęśliwy, a nie mający ani przyjaciół, ni znajomych, z którymi by się mógł podzielić szczęściem. Naraz zdarzyła się rzecz nieoczekiwana:

Na zakręcie drogi, nad samym brzegiem kanału, oparłszy się łokciami o poręcz bulwarową, stała kobieta — widocznie nadzwyczaj pilnie patrzyła w mętną wodę kanału. Odziana była w zalotną czarną mantylkę, na głowie kapelusik. „To jest dziewczyna i bezwarunkowo brunetka“, pomyślałem. Nie słyszała, zdaje się, mych kroków, nie ruszyła się nawet, gdym z zapartym oddechem przechodził koło niej. „Dziwne“, pomyślałem, „zapewne się nad czemś zadumała“ — i naraz zatrzymałem się, jak wryty. Usłyszałem głuchy płacz. Tak jest! Nie omyliłem się: dziewczyna płakała, trwało to dość długo. Boże! Ścisnęło mi się serce. Chociażem taki nieśmiały z kobietami, ale w takiej chwili!... Wróciłem, podszedłem do niej i bezwarunkowo wyrzekłbym był: „Pani!“, gdybym nie wiedział, że ten wykrzyknik zużyto już w tysiącu wielkoświatowych rosyjskich powieściach. To jedno mnie powstrzymało. Ale podczas, gdy ja dobierałem wyrazów, dziewczyna ocknęła się, obejrzała, domyśliła się i prześlizgnęła koło mnie. W tej chwili poszedłem za nią, ale ona przeszła na przeciwległy chodnik. Nie śmiałem przechodzić ulicy. Serce moje trzepało się, jak złowiony ptak. Naraz pewne zajście przyszło mi z pomocą.

Po tamtej stronie ulicy, niedaleko od mej nieznajomej wynurzył się naraz jegomość solidnego wieku, ale nie można powiedzieć, by krok jego, którym szedł po chodniku, był również solidny. Kiwał się i ręką przytrzymywał muru. Dziewczyna szła jak strzała, pospiesznie i lękliwie, jak wogóle chodzą wszystkie dziewczęta, nie pragnące nocnych odprowadzań do domu, i kiwający się jegomość żadną miarą nie nadążyłby jej, gdyby naraz nie zerwał się był z miejsca i nie poleciał co sił za nią. Ona szła jak wiatr, ale kiwające się indywiduum dopędzało, dopędzało... dziewczyna krzyknęła... i niech będzie błogosławiony mój sękaty kij! W okamgnieniu byłem już na tamtej stronie, w okamgnieniu jegomość domyślił się wszystkiego, przyjął do wiadomości, przemilczał, pozostał na miejscu i dopiero, gdyśmy odeszli kawałek drogi, zaniósł protest w dość dosadnych definicjach.

— Proszę, niech mi pani da rękę — odezwałem się — nie będzie śmiał już zaczepiać.

W milczeniu podała mi rękę, jeszcze drżącą ze strachu i wzruszenia. O jegomościu nieproszony, jakżem cię błogosławił! Chyłkiem spojrzałem na nią, była prześliczna i brunetka — zgadłem; na czarnych rzęsach błyszczały jeszcze łezki — ale na ustach drżał już uśmiech.

— No i widzi pani, potrzeba było uciekać odemnie wtedy? Nic podobnego byłoby nie zaszło.

— Nie znałam pana, myślałam, że pan tak samo...

— A czyż teraz pani mnie zna?

— Trochę. Naprzykład, czego pan drży?

— O, zgadła pani od pierwszego razu! — zawołałem w zachwycie. W zachwycie nad jej sprytem: spryt przy piękności nigdy nie zaszkodzi. — Tak jest, zgadła pani odrazu, z kim pani ma do czynienia. Istotnie jestem z kobietami nieśmiały; teraz jestem nawet wzruszony niemniej od pani, gdyś uciekała przed tamtym jegomością... Jestem jakby w strachu. Jakby sen; nie śnię nigdy nawet o tem, że rozmawiam z jaką kobietą.



Sceny z wychodźtwa naszego do Ameryki (obj. patrz w „nasze ryciny“).

— Naprawdę?

— Tak jest. Jeżeli moja ręka teraz drży, to z tego powodu, że nigdy się na niej nie wspierała taka prześliczna rączka, jak teraz. Zupełnie się odzwyczaiłem od kob[illegible], to jest, nigdy nie miałem sposobno[illegible] do nich; jestem taki... sam... Naw[illegible] wiem, jak mówić z panią. Ot i teraz nie wiem, czym nie powiedział jakiej niedorzeczności? Niech mi pani powie wprost: nie jestem obraźliwy...

— Nie, nie, nie; przeciwnie. A jeżeli pan żąda otwartości, to powiem, że taka nieśmiałość podoba się kobietom, a jeżeli pan chce jeszcze większej otwartości, to powiem, że i mnie się podoba i nie odpędzę pana, aż z przed domu.

— Pani robi ze mną to, że w tej chwili utracę nieśmiałość — zachwyt tamował mi mowę — i wtedy... i wtedy bądźcie zdrowe moje środki!...

— Środki? Doczego? A... to znowu nieladnie.

— Przepraszam, nie będę już; to tak mi się wyrwało... ale jakże pani chce, by w taką chwilę nie mieć pragnienia...

— Spodobać się: tak?

— No tak. Ale niech pani będzie dla mnie dobra. Niech tylko pani dobrze wniknie w moje położenie. Mam już dwadzieścia sześć lat, a nikogo jeszcze nie znam. Skądże mam umieć mówić i zręcznie i łatwo? Będzie lepiej, gdy się wywnętrzę przed panią... Ja nie umiem milczeć, gdy serce we mnie mówi. Zresztą wszystko jedno... Czy pani uwierzy, ani jednej kobiety, nigdy, nigdy! Żadnej znajomości! I tylko marzę dzień w dzień, że wreszcie spotkam jaką. Ale żeby pani wiedziała, ile razy byłem zakochany tym sposobem...

— W kim? Jakże to może być?...

— W nikim... w ideale, w tej, którą wyśniłem. O, w marzeniach układam całe romanse. Pani mnie nie zna! Spotkałem naturalnie dwie, trzy kobiety, inaczej nie może być, ale co to za kobiety? Takie gospodynie, że... Rozbawię panią, gdy powiem, że kilka razy chciałem przemówić, tak prosto z mostu do jakiejkolwiek arystokratki na ulicy, naturalnie, gdy nikogo koło niej nie będzie; przemówić nieśmiało, z szacunkiem, namiętnie; powiedzieć, że ginę z samotności, żeby mnie nie odpędzała, że nie mam możności poznania żadnej kobiety; wpoić w nią przekonanie, że obowiązkiem kobiety mieć współczucie dla takiego nieszczęsnego człowieka, jak ja. Ale pani się śmieje... Co prawda na to tylko mówię.

— Niech się pan nie gniewa; śmieję się jedynie z tego, że pan jest wrogiem samego siebie, bo gdyby pan spróbował, toby się udało, być może, nawet na ulicy; im prościej, tem lepiej... Ani jedna dobra kobieta, jeżeli tylko nie jest głupia, albo bardzo o coś zła w tej chwili, nie zdecydowałaby się pana odepchnąć zupełnie... A zresztą... Gadam tylko tak... Naturalnie wzięłaby pana za warjata. Sądziłam według siebie...

— O, dziękuję pani! — krzyknąłem — pani nie wie, co pani dla mnie w tej chwili zrobiła?

— No dobrze, dobrze! Ale niech mi pan powie, skąd pan powziął przekonanie, że jestem kobietą godną... uwagi... przyjaźni... Słowem, nie gospodyni, jak pan mówi. Dlaczego pan się zdecydował podejść do mnie?

— Dlaczego? Dlaczego? Pani była sama... tamten pan już zanadto śmiały, teraz noc. To przecie prosty obowiązek.

— Nie, nie, ale przedtem, na tamtej stronie?

— Tam, na tamtej stronie? Naprawdę nie wiem, czy odpowiedzieć, boję się... Wie pani — dzisiaj byłem szczęśliwy, szedłem, śpiewałem, byłem za miastem, nigdy jeszcze tak błogo mi nie było... Pani, wydało mi się... Może mi się tylko wydało... Niech mi pani wybaczy, że potrącam o to: wydało mi się, że pani płakała, więc... więc nie mogłem tego słuchać... ścisnęło mi się serce... No, mój Boże, czy nie mogło mi być żal pani! No czyż to grzech, że...

— Nie mówmy już o tem... — powiedziało dziewczę, sposępniało i ścisnęło mi rękę. — To jam winna, żem zaczęła o tem mówić; ale jestem rada, żem się nie omyliła na panu... Ale oto i mój dom... dwa kroki w ten zaułek i dom. Żegnam więc pana i dziękuję.

— Więc... Czyżby... Więc nigdy się już nie zobaczymy? Nigdy...

— Widzi pan, z początku pragnie się tylko dwóch słów, a potem... Ale... zresztą może się zobaczymy.

— Ja tu przyjdę jutro — wyrwałem się. — O proszę mi przebaczyć, już żądam...

— Tak jest, pan jest niecierpliwy, pan prawie żąda...

— Niech mnie pani posłucha — przerwałem jej — jabym nie mógł nie przyjść tu jutro. Jam marzyciel, przemarzę o pani całą noc, cały tydzień, rok... Bezwarunkowo przyjdę tu jutro, na to samo miejsce, właśnie o tej samej godzinie i będę szczęśliwy, wspominając dzisiejszą chwilę. To miejsce już mi miłe. Mam takich miejsc kilka w Petersburgu. Raz nawet rozpłakałem się nad wspomnieniami tak, jak pani tam... Przepraszam... Ale czy ja wiem, pani może tak samo płakała nad wspomnieniami, albo może tam pani była osobliwie szczęśliwa.

— Dobrze, — rzekła — przyjdę zresztą tu jutro. Widzę, że panu nie mogę zabronić. Bez tego muszę tu być; niech pan nie myśli, że panu naznaczam schadzkę, uprzedzam pana, że tak czy owak, byłabym tu. Ale powiem otwarcie: nic nie szkodzi, gdy będę z panem; naprzód mogą się nadarzyć nieprzyjemności, jak dzisiaj, o to zresztą mniejsza, słowem chcę pana widzieć, aby powiedzieć dwa słowa. Ale proszę pana, niech mnie pan nie posądza, niech pan nie pomyśli, że ja tak łatwo schadzki naznaczam... Nie naznaczyłabym, gdyby nie to... Ale to niech już będzie moją tajemnicą... Ale przedtem jeszcze umowa...

— Umowa: proszę mówić, powiedzieć wszystko zawczasu, na wszystko się zgadzam, na wszystko jestem gotów — zacząłem mówić w nowym zachwycie — odpowiadam za siebie, będę posłuszny... pani mnie zna.

— Właśnie dla tego, że pana znam, proszę pana na jutro. — Zupełnie pana znam. Ale umowa (tylko proszę to spełnić — widzi pan, jestem szczera) — niech się pan we mnie nie zakocha... Nie można, niech mi pan wierzy. Na przyjaźń jestem gotowa, oto moja ręka... Ale zakochać się nie wolno, proszę o to pana!

— Przysięgam pani, że...

— Niech pan nie przysięga; wiem, że pan gotów zapalić się, jak proch. Niech mi pan tego za złe nie bierze, że tak mówię... Gdyby pan wiedział... Ja także nie mam nikogo, z kimbym mogła pomówić, o radę poprosić. Na ulicy szukać rady nie sposób; pan wyjątek Ja pana tak znam, jakbyśmy od dwudziestu lat przyjaciółmi byli... Pan mi się nie sprzeniewierzy, prawda?

— Zobaczy pani... tylko nie wiem, czy przeżyję tę dobę.

— Niech pan długo śpi, dobranoc; — a niech pan pamięta, żem się panu już zwierzyła. Wie pan, w tej chwili przyszło mi do głowy...

— Co takiego!?

— Nic. Do jutra. Niech to będzie moją tajemnicą. Tem lepiej dla pana; choć trochę będzie podobne do romansu. Być może, iż jutro powiem, być może: — nie... Musimy się lepiej poznać.

— O, i ja jutro wszystko pani opowiem o sobie!

— Dobrze. Pan zacznie.

— Zgoda.

— Do widzenia!

— Do widzenia!

I rozstaliśmy się. Chodziłem całą noc; nie mogłem się zdecydować na powrót do domu. Byłem tak szczęśliwy... do jutra! (D. c. n.)

CO CZYTAĆ?

„Chimera“.

Pod redakcją Zenona Przesmyckiego wychodzi w Warszawie miesięcznik „Chimera“, poświęcony wyłącznie literaturze i sztuce. Pod tym względem „Chimera“ jest u nas nowością, organu bowiem artystyczno-literackiego, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie mieliśmy po za „Życiem“ krakowskiem zupełnie.

Tem większą ciekawość budzi pytanie, jaką wartość ma „Chimera“ gdy ją się przegląda w komplecie całorocznym, dającym rezultat ciągłego redakcyjnego wysiłku? Co „Chimera“ zdziałać zdołała dla sztuki polskiej i co dla polskiej publiczności? Dla tych dwóch czynników bowiem pismo artystyczno-literackie wszak się stwarza.

Sam fakt, że w ciągu roku nie pojawiła się w tym miesięczniku ani jedna rzecz błaha, ani jedna, któraby nie była dziełem talentu, dowodzi, że w programie redakcyjnym „Chimery“ niema nic przypadkowego, niespodzianego, że o każdym utworze pomyślano zawczasu, że wreszcie każdy kawałek miejsca szanuje się, nie przeznacza go się pod „cokolwiek“. Raz w ten sposób postawiona, zasada redakcyjna daje czytelnikowi gwarancję, że w piśmie, za które płaci nie znajdzie nigdy rzeczy niepotrzebnej, nie zasługującej na czytanie.

A jest to wielkiem zwycięstwem pisma, gdy w czytającym ogóle wyrobi potrzebę czytania go.

Dać poznać choćby w przybliżeniu wartość zawartych w pierwszym roku wydawnictwa utworów w pobieżnym artykule, byłoby niepodobieństwem. Samo zaś wyliczanie nazwisk autorów swojskich i tłomaczonych, których prace literackie, ornamentacyjne, rysunkowe i krytyczne zamieszczała „Chimera“ nie doprowadziłoby ostatecznie do żadnego krytycznego celu.

Niesposób jednak pominąć kilku wyszczególnień. Rozpoczynamy od nieznanego jeszcze warjantu z Króla Ducha, które bezsprzecznie należą do najwznioślejszych, jakie tylko napisał Słowacki.

Drugą zasługą dla historji literatury, jaką uczyniła „Chimera“ jest ukazanie czytelnikom zapoznanej dotąd postaci: Cyprjana Norwida.

Stosunek krytyki i czytelników do Norwida to jeden z tych fenomenów, które nie przestając być fenomenami, tak się jednak często zdarzają! Piszący i tworzący w epoce bezpośrednio następnej po wielkich dniach Słowackiego, Mickiewicza pozostał zupełnie w ich cieniu. Przyszły dalej czasy, kiedy największym poetą był ten, który najgoręcej hasła narodowe na sztandarach wypisywał — wszystko jedno jakiemi rymami i jakiemi myślami. Norwid gromko wołać nie umiał. Czuł goręcej może od innych, myślał głębiej, — mówił jednak tylko to, co z najwewnętrzniejszej potrzeby jego poetyckiej duszy wypływało, bez względu, czy ta potrzeba harmonizowała z popytem chwili, czy nie. Nic dziwnego, że się z nim popyt chwili nie rachował. Byli sobie nawzajem wrogami. Można więc śmiało i bez zastrzeżeń przyznać „Chimerze“, że jeśli imię Norwida w literaturze odbierze sprawiedliwą dań, będzie to wyłączną jej redakcji zasługą.

Jak na pierwszy rok istnienia zasługa ta w dziale rewizji poglądów literackich zupełnie wystarcza. Ma jednak „Chimera“ i drugi dział, ważny niezmiernie i drugie zadanie: służenie sztuce i literaturze współczesnej polskiej, wydobywanie talentów nowych zwłaszcza. W tym dziale „Chimera“ zapisała się utworem istotnie niezwykłej miary. Mówimy tutaj o powieści młodego autora Berenta.

Dawno już, lat temu z ośm, drukował Berent w „Gazecie polskiej“ w Warszawie powieść p. t. „Fachowiec“. Powieść ta, pełna brutalnej siły, zwróciła już wtedy uwagę literackiego świata. Rzecz jednak była surowa i nic o przyszłości artystycznej autora nie mówiąca. Po „Fachowcu“ Berent zamilkł. Wiedziano o nim tylko, że wyjechał za granicę i cały czas strawił na rzetelnej pracy naukowej. Studjował gruntownie chemję, gruntownie botanikę. O Berencie literacie przestano mówić. Dopiero teraz w „Chimerze“ ukazała się jego duża powieść „Próchno“. Nie podobna się oprzeć pokusie zachwytów, czytając tę rzecz. W „Próchnie“ Berent wstaje przed oczami czytelnika jako skończony artysta, władający silnym i barwnym stylem, jako człowiek, który wiele przeżył, wiele przemyślał i wiele widział, jako poeta, którego potężna wyobraźnia budzi do życia ludzi żywych i z nieubłaganą konsekwencją prowadzi ich w swej powieści przez ciężkie jarzmo życia z taką porywającą prawdą, że czytając te karty krwią i łzami pisane, żyjemy z temi bohaterami razem i nie możemy oderwać się od książki. Autor umie wnikać w duszę ludzką z przedziwną bystrością. Czytając ma się to niewytłomaczone uczucie, jakie się zawsze budzi tylko przy obcowaniu z wielkim talentem. Niemożliwem jest tutaj podawać treść „Próchna“. Mamy nadto głębokie przekonanie, że czy prędzej, czy później każdy „Próchno“ poznać musi. Na tem miejscu pragniemy powitać tylko najlepszą powieść polską, jaką w tym roku zakończono i zadokumentować, że ukazała się ona w „Chimerze“.

Norwid z pierwszego paragrafu programu, a Berent z drugiego, daje prawo redakcji do żądania zupełnego absolutorjum od walnego ogółu czytelników.

O ile można z pierwszego rocznika, dojść dalszym paragrafem jest zaznajamianie polskiego ogółu z najcelniejszemi utworami zagranicznemi.

Na pozór nie wprowadza „Chimera“ nic nowego; wiele z innych pism, tygodników, nawet dzienników czyni to samo. Gdy jednak wnikniemy w wybór tych utworów, przekonamy się, że „Chimera“ daje w tej mierze coś zupełnie innego aniżeli przeciętne pisma. Dla tygodnika, czy dziennika najważniejszym autorem europejskim jest ten, który jest równocześnie i najaktualniejszym, o którym najwięcej się mówi, którego najwięcej książek księgarnie sprzedają. Stąd pierwszym pisarzem rosyjskim jest teraz Gorkij, nie wie się nic o Dostojewskim; pokazuje się publiczności Loti'ego, o Barbey d'Aurevillym wspomniałoby się wtedy, gdyby gdziekolwiek odsłaniano jego pomnik. Wtedy byłby znowu aktualny.

„Chimera“ zrywa z tą metodą kategorycznie. Chwila, popyt dnia nie egzystuje dla niej zupełnie. Stąd obok nazwiska z ośmnastego lub siedemnastego stulecia spotykamy Rimbaud'a; obok sztucznego parnasowca, piosenkę ludową duńską, w jednym i tym samym numerze w „Chimerze“ jest miejsce na strofę z „Upaniszady“ indyjskiej i na ostatni dramat Maeterlincka. Jedynem kryterjum jest wartość pod względem piękna.

Kryterjum to jest równocześnie jakby cłem ochronnem przeciw napływowi chwili. Mamy z niem raz na zawsze znowu pewność, że skoro ten a ten utwór pomieściła „Chimera“ musi to, z jej przynajmni[illegible]nktu widzenia, być arcydzieło. A lepiej się już [illegible]zaj zdać w tym wypadku na czyjkolwiek [illegible] widzenia, niż go nie mieć wcale.

Romantyzm i modernizm.

Z cennej książki p. Ign. Matuszewskiego p. t. „Słowacki i Nowa Sztuka“ podajemy czytelnikom dalsze ustępy, w których autor niezmiernie trafnie przeprowadza paralelę między poezją romantyków, a dzisiejszą, najnowszą, którą niedość ściśle przyzwyczailiśmy się nazywać modernizmem.

Pomiędzy epoką romantyczną, a dobą dzisiejszą istnieje wiele analogii.

Zarówno romantyzm jak i modernizm są to prądy par excellence indywidualistyczne i estetyczne.

Kiedy klasycyzm i naturalizm poddawały się chętnie pod berło nauki i uważały sztukę tylko za jeden ze środków do rozszerzania wśród ogółu prawd zdobytych przez rozum, romantycy i moderniści więcej wierzą własnemu „czuciu“ niżeli „szkiełkom i oczom mędrców“ i głoszą zupełną autonomję sztuki, która jest sama sobie celem i nie ma obowiązku zniżać się do roli moralizatorki i nauczycielki mas.

Klasycyzm i naturalizm były to prądy jednolite, gdyż opierały się na wierze w objektywną prawdę pewnej syntezy naukowo-rozumowej; romantyzm i modernizm są kierunkami rozbitemi na mnóstwo strumieni indywidualnych, gdyż, negując przedmiotową wartość wiedzy, opierają się tylko na syntezach podmiotowych.

Klasycy i naturaliści piętnowali nadużycia społeczne, ale nie przeciwstawiali swojej osobistości społeczeństwu, jako samoistnego równouprawnionego świata, co czynili romantycy i czynią moderniści.

I klasycy i naturaliści starali się trzymać fantazję na wodzy; pierwsi za pomocą wędzidła logicznego, drudzy przez oddanie jej pod kontrolę obserwacji: u romantyków i modernistów fantazja cieszy się bezwzględną swobodą i może bujać po całym obszarze realnego i idealnego świata. Dlatego też klasycy i naturaliści czuli wstręt do wszystkiego, co mgliste, niejasne, nieokreślone, mistyczne, co się nie da ująć w karby logiki, co się wymyka z pod sprawdzianu obserwacji, co tchnie przesądem, zabobonnym, co trąci nadnaturalnością, gdy romantycy i moderniści, lekceważąc świat skończony, realny, ciążą właśnie ku owym zagadkowym otchłaniom i czują się najlepiej w odurzającej atmosferze metafizyki i okultyzmu.

Klasycy i naturaliści są w pierwszej linji epikami, t. j. uprawiają sztukę objektywną, w której osoba twórcy ukrywa się dyskretnie po za dziełem, gdy romantycy i moderniści są egotystami i lirykami.

Klasycy i naturaliści podporządkowywali w swoich teorjach estetycznych część całości, wyjątek regule: pierwsi byli psychologami typów oderwanych, drudzy psychologami grup i mas społecznych; pierwsi gubili się w uogólnieniach logicznych, drudzy tonęli w szarej przeciętnej pospolitości. Romantycy i moderniści unikają jak ognia wszystkiego co normalne, a gonią za barwną wyjątkowością, oraz, jak powiedział cytowany wyżej Nietzsche, za tem co „nielogiczne, krzywe i sprzeczne same z sobą“.

Każdy z wielkich romantyków, bez względu na to, czy sympatyzował z ideami rewolucji francuskiej, czy też gardził niemi, uważał się za jednostkę wyjątkową, odosobnioną od „tłumu“, który przez to właśnie, że zdobył równouprawnienie teoretyczne, stał się bardziej wymagającym i wrogim wszystkiemu, co wystrzelało, choćby o głowę, nad poziom przeciętności.

Dzisiaj, dzięki posunięciu się procesu demokratyzacji naprzód, to poczucie odosobnienia i pogardy dla zwycięzkich mas „burżuazji“ wzrosło do niesłychanej potęgi w sferze artystów i poetów.

Jeżeli Byron i Shelley, krzywdzeni faktycznie przez najbliższe otoczenie, buntowali się przeciwko przesądom, obłudzie oraz bezmyślnej złośliwości i zawiści tłumów, to jednak nie żywili ku nim nienawiści, lecz litość i wierzyli w to, że przyszłość zmieni to wszystko na lepsze.

„Nie pogardza ten ludźmi, kto od nich ucieka — powiada Byron w „Child Haroldzie“ — z nimi ruch, pracę dzielić nie każdy sposobny, ani to jest nienawiść, gdy umysł człowieka, w głębi źródła trzymany, do wrzątku podobny, wyleje się na tłumy“...

Dzisiaj wyjątkowe jednostki, uważające się słusznie czy niesłusznie, za „arystokratów ducha“ wołają z Nietzschem: „każdy wybrany człowiek tęskni instynktownie za swoim własnym zamkiem i domem, gdzie może znaleść wybawienie od tłumu, od wielu, od większości, gdzie może zapomnieć o „regule“ człowieka, jako wyjątek od tej reguły“.

„Moje zdanie jest mojem zdaniem: kto inny może zdobyć niełatwo prawo do niego. Trzeba się wyrzec złego gustu i przestać dążyć do tego, by zgadzać się z wieloma.

„Dobro“ przestaje być dobrem, skoro je mój sąsiad weźmie w usta. A czyż może istnieć „dobro pospolite“ (Gemeingut). Słowo to przeczy samemu sobie: to, co może być pospolitem, nie ma nigdy wielkiej wartości. W końcu musi być, jak jest i było zawsze: wielkie rzeczy zostaną dla wielkich, przepaści dla głębokich, subtelności i dreszcze dla delikatnych, a wogóle i krótko mówiąc, wszystko, co rzadkie i wyjątkowe, należy do rzadkich i wyjątkowych“ (Jenseits von Gut und Böse).

Trudno chyba iść dalej. Jest to indywidualizm romantyczny, doprowadzony do ostatnich konsekwencji, do absurdu prawie.

Nasze ilustracje dają kilka scen z wychodźtwa ludu naszego galicyjskiego za Ocean.

Scena na pierwszej stronie przedstawia kwarantanę, jaką przechodzić muszą nasi wychodźcy podczas podróży.

Na stronie drugiej mają czytelnicy ilustracje dwóch decydujących scen — kiedy urzędnik ajencji wydaje emigrantom numery kolejowe, które przez czas dalszy podróży zamieniają im nazwisko. Od chwili wydania numeru — emigrant nasz przestaje być osobnikiem, staje się liczbą.

Następna odbitka przedstawia grupę dziewczyn, które nareszcie po uciążliwej kolejowej drodze, po kwarantanie, po wszystkich formalnościach nareszcie wsiadają na pomost okrętowy. Nareszcie! Za chwilę przeciągły syk maszyny i podróż! Dawno oczekiwana Ameryka zbliży się o jeden etap drogi, ostatni etap! Na twarzach młodych dziewcząt świta uśmiech nadziei. Nic dziwnego: młodość tyle zna wiary w przyszłość. Rzeczywistość niejedną ranę tym nadziejom zada.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.